# ROZMAITOŚCI.

**Dnia 9. Lipca. № 28. Roku 1856.**

## POWIEŚĆ
## O BŁĘDNYM RYCERZU POLSKIM.
(Ciąg dalszy.)

### Jak rycerz polski Jarosław i pan Saintré wjechali w szranki, potykać się konno w obecności królowej i licznych dam i rycerzy.

### Rozdział 50.

Na dnin trzynastym po zdjęciu imprezy z rycerza Jarosława, gdy miały się już rozpoczynać umówione harce rycerskie, kazał pan Jarosław zanieść pod balkon królewski dwadzieścia grubych kopij, dobrze okutych, z twardemi stalowemi grotami, bez wszelkich fortelów, jak w podobnym razie przystało. Gdy zaś król, królowa, liczni rycerze i damy ukazali się na balkonach i w oknach wspaniałej ulicy świętego Antoniego w Paryżu, kazał rycerz Jarosław przynieść skórzana skrzynię podróżną, pełną najprzedniejszych kopij kowanych, któremi nacierać mieli na siebie, i którym można było nadać miarę, jaką się podobało.

Owoż gdy liczne i świetne grono francuskich giermków i rycerzy wymierzało jeszcze te kopie, jak to król jegomość rozkazał, nadjechał polski rycerz Jarosław, w pięćdziesiąt koni, z pocztem świeżo ustrojonych rycerzy i giermków i pachołków. Naprzód szło pięć parskających rumaków, z których cztery uginały się pod bogatemi kropierzami z różnobarwnego aksamitu, i z mnóstwem rozmaitych ozdób z złota i srebra; piąty zaś okryty był kosztowną deką aksamitną, na której lśniła się srebrzysta tarcza z wizerunkiem herbu pana Jarosława to jest czerwonym Ciołkiem z zielonemi rogami i racicami. Na każdym z tych koni siedziało zgrabne i nadobne pacholę w przepysznym stroju. W tyle jechał hrabia d'Estampes, niosąc na drzewcu kopii hełm rycerza Jarosława, na którym widać było pół Ciołka czerwonego w polu srebrzystem. Za nim jechał sam rycerz Jarosław na dużym i dzielnym rumaku w zbroi, okrywającej całą postać rycerza oprócz głowy, na której miał prześliczny fioletowy kapelusz. Szaty rycerza i kropierz konia były z karmazynowego aksamitu, bogato złotem bramowane i wyszywane, a podbite zewsząd drogiemi sobolami. Gdy pan Jarosław stanął u bramy okola turniejowego, kazał mu król wjechać do środka bez wszelkiej w takim razie przemowy, i zatrzymać się pod pawilonem cienistym, gdzie za wielkiemi oponami na kółkach stał suto zastawiony kredens z winną polewką i rozmaitemi konfektami na ochłodę. Po przybyciu i umieszczeniu się pana Jarosława pod pawilonem, nadjechał Saintré. Był on również w pełnej zbroi rycerskiej z wyjątkiem h łmu, zamiast którego podobnież jak pan Jarosław, miał na głowie kapelusz. Był ten kapelusz z grubej wełnianej materyi, z złocista na dół spadającą siatką, z złotemi dokoła frenzlami i guzami. Na przodzie błyszczał podarek księżny, dyamentowa spinka, otoczona trzema blademi rubinami, ważącemi cztery karaty. Suknie młodzieńca i kropierz na koniu były z drogich gronostajów, podbite sobolami, cudnie wyglądające na oko. O sześciu innych koniach i świetnie ustrojonych giermkach, które poprzedzały Saintrego, nie będę nic mówił, bo tego każdy sam domyśleć się może. W tyle za temi sześcią końmi jechał hrabia d'Alençon, i z przyjaźni ku Saintremu niósł jego hełm i przyłbicę na drzewcu kopii. Za nim jechał sam Saintré, mając po prawej ręce księcia d'Anjou, który w ten sposób zaszczycić i wyszczególnić go raczył. Na końcu jechała ćma rycerzy i giermków, z ochoty towarzyszących Saintremu. Gdy więc stanęli u bram szrankowych, postąpił sobie Saintré jak dobry chrześcijanin, to jest zrobił proporczykiem u kopii wielki znak krzyża świętego, i odmówił modlitwę, której go nauczyła kochanka. I częścią dla tej bogobojności, częścią też dla rzeczywistej nadobności postawy, wydał on się jej w tym momencie o wiele piękniejszym niż kiedykolwiek. Przeto i miłość

jaką pałała dla niego, i obawa niebezpieczeństwa, w jakie go prawie samowolnie wtrąciła, zatrwożyły na nowo księżnę, i tak srogim przejęły ją niepokojem, iż z coraz żywszej i okrutniejszej boleści padła zemdlona na balkonie, gdzie znajdowała się wraz z królową. Królowa i damy zdziwiły się niezmiernie tym niespodziewanym wypadkiem, i widząc jej śmiertelną bladość, a nie odgadując jej powodu, i nie chcąc też trwożyć króla i panów w jego orszaku, zaczęły księżnie w cichości nacierać octem ręce i skronie, i używały wszelkich innych środków i leków, jakie tylko były pod ręką. Pomoc ta okazała się na szczęście tak skuteczną, że wkrótce przyszła Berta do siebie, a gdy rozwarła oczy i powiodła niemi to w tę to w ową stronę, to na tę to na ową z osób obecnych, otworzyła usta pobladłe i zawołała: „O Matko Boska! wesprzyjże mię łaskawie!“ Poczem zwolna uspokoiła się całkiem, lecz nie chciała w żaden sposób usłuchać próśb królowej i zwrócić oczu na miejsce, gdzie odbywała się walka.

Saintré wjechał w szranki z jasnem czołem, z wypogodzonym uśmiechem, rzucił okiem na balkon królewski, potem na balkon dam, zdjął w przejeździe kapelusz z uszanowaniem, i skłonił się, jak mógł najniżej. Nie widząc księżnej na balkonie królowej nie zdziwił się tem bynajmniej; domyślał się bowiem z poprzedniej z nią rozmowy, że księżna nie ma dosyć odwagi, aby obojętnem okiem przypatrywać się harcom, w których obadwaj zapaśnicy z tak wielkiem gonić mieli niebezpieczeństwem. Wjechał tedy bez frasunku pod swój pawilon, który miał te same osłony i ozdoby, tudzież w takiżsam zaopatrzony był kredens, jak ów pod którym czekał rycerz polski Jarosław. Towarzyszyli mu tu książę d'Anjou, hrabia d'Alençon i liczni giermki do usług, reszta zaś otaczających go do niedawna rycerzy i giermków zatrzymała się poza szrankami.

Gdy więc obadwaj przeciwnicy stanęli już w okolu, i gdy kopie już odmierzono i groty pozasadzano, polecił król aby obaj przywdzieli hełmy i spuścili przyłbice. Pan Jarosław jako wyzywający wyjechał pierwszy z pod pawilonu, i wypełnił niezwłocznie rozkaz królewski. Po nim wyjechał Saintré, a król zalecił mu, aby na hełm swój przywdział także ów kapelusik z wełnianego wyrobu, który miał wprzódy na głowie. Potem wysłał król jegomość do Jarosława dziesięciu rycerzy z tyląż kopiami, aby sobie wybrał z nich pięć najlepszych. Atoli pan Jarosław jako człowiek światowy i dokładnie z przepisami rycerskiej przyzwoitości obeznany, podziękował królowi uniżenie, i odesłał kopie do Saintrego, aby wybierał pierwszy, jak mu to list wyzywający warował. Saintré podziękował z grzecznością, i żeby już temprędzej przystąpić do turnieju, odpowiedział krótko rycerzom, iż zatrzymuje dla siebie pięć najgrubszych. Zaczem gdy już rozdzielono kopie pomiędzy adwersarzów, wydał król rozkaz rozpoczęcia zapasów. Nuż tedy obaj pędzić cwałem ku sobie! jakgdyby się obawiali, aby nie dość prędko zetknęli się kopiami. I zaraz w pierwszym harcu ugodził Saintré pana Jarosława w żelazny bukiel naramiennika, tuż u lewego łokcia, gdzie jednak kopia z powodu niedość mocnego uderzenia ześliznęła się nieszkodliwie. Jarosław zaś zajechał Saintrego w puklerz, ale ponieważ raz wymierzony schybnął się nieco zanisko, przeto skruszona w drobne kawałki kopia nie dopięła zamiaru. Uderzono zaraz w trąby i kotły, a lud zawtórował tak głośnym krzykiem, że dopiero po niejakimś czasie można było przywrócić ciszę. W drugiej potyczce uderzył Jarosław z takim impetem na Saintrego, że omal nie wysadził go z siodła, i tuż na miejscu nie wyprawił go do wieczności. Od czego przecież ochraniając młodzieńca swoją opieką przenajświętszą, pozwolił mu Pan Bóg oddać panu Jarosławowi za swoje, i pchnąć go tak silnie w sam środek hełmu, i w zatknięty na hełmie herbowy klejnot Ciołka, że koń Jarosławów zatrzymał się naraz w biegu, i skręcił młynka. Po tym harcu wypoczął chwilkę. W trzeciej potyczce wywzajemnił Jarosław poprzedni raz Saintremu, i zajechał go tak potężnie w sam złocisty czub hełmu, iż zdarł mu kopią ów prześliczny kapelusz z drogiej materyi, który miał na grzebieniu u hełma. Aliści i Saintré ugodził go tymczasem w wierzchni krawędź naramiennika, a ugodził go tak gwałtownie i zręcznie, iż opasująca naramiennik refa wymknęła z karbów, a wraz z pękającemi rzemykami runęła cała zbroja naramienna na ziemię. Na to zagrzmiały znowu trąby i kotły, i ozwały się głośne okrzyki ludu, i tylko z wielką trudnością zdołano po długim czasie uśmierzyć zagłuszający wrzask tłumów. Gdy zaś król jegomość ujrzał pana Jarosława wyzutego z zbroi ramiennej, kazał sobie podać jego list wyzywający, aby się przekonać, co też w podobnym razie zastrzegają umówione przepisy walki. Owoż stało w liście wyraźnie, pomiędzy trze-

ma pierwszemi warunkami, że: „jeśliby który z zapaśników odniósł w pieszej lub konnej walce szwank tak gwałtowny, iżby nie mógł dłużej pozostać w szrankach, lub jeśliby który wysadzon został z siodła, powalony na ziemię, wyzuty z hełmu, puklerza lub naramiennika, a nie chciał walczyć dalej w tym stanie, natenczas poczytany będzie za zwyciężonego, i winien będzie zapłacić przeciwnikowi wszystkie zakłady, jakgdyby uległ we wszystkich harcach.“ Ztąd też rozkazał król zaniechać dalszej szermierki, i polecił panom Dobiesławowi, Zawiszy, Spytkowi i Jarandowi, aby swojemu panu chorągiewnemu przypomnieli osnowę jego wyzwania, które, jak powiedziałem, król właśnie co odczytał. Kazał zarazem przedstawić panu Jarosławowi, na jak wielkie niebezpieczeństwo naraziłby swoją sławę i swoje zdrowie, a może nawet i życie samo, gdyby dalej chciał stawić czoła. Pan Jarosław posłyszawszy słowa królewskie, podziękował jak należało, atoli do żywego dotknięty nieszczęsną przygodą swoją, oświadczył panom polskim, iż bądź cobądź raczy Bóg zesłać na niego, chce kończyć walkę. Napróżno silili się panowie polscy i francuscy, przydani mu od króla do towarzystwa, odwieść go od tak zapamiętałej imprezy, i nie prędzej aż gdy jego ziomkowie oświadczyli stanowczo, iż w razie trwania w uporze będą musieli odmówić mu dalszych usług rycerskich, uspokoił się nieco, i rzekł:

„Wiecie lepiej odemnie, co może być sławą, a co niesławą moją. Zdaję się więc zupełnie na radę waszą.“

Owoż zaczęli mu przedstawiać, jak marnie narażałby tym razem swoją sławę i życie swoje; tudzież pocieszali go iż szwank dzisiejszy można powetować jeszcze w pieszych zapasach. Zezwolił w końcu pan Jarosław z wielką trudnością i ciężkim żalem, i zrzekając się na dziś zwycięstwa, usłuchał królewskich słów. Postanowienie to oznajmiono zaraz królowi, który rozkazał, aby obadwaj przeciwnicy zdjęli hełmy i przyłbice, i stanęli niezwłocznie przed obliczem monarszem, z umówionemi dankami w ręku. Królowa zaś i reszta dam jej orszaku, ujrzawszy zwycięstwo Saintrego, pospieszyły coprędzej do księżny Berty, która spoczywając na jedwabnym kobiercu, modliła się jeszcze wśród gorących westchnień do Boga, i ponawiała Matce Boskiej owe śluby ofierne, opisane w poprzedzającym rozdziale. I rzekła do niej królowa:

„Wstawajże piękna Berto, i spiesz za nami, a ujrzysz ciekawe rzeczy. Oto nasz dzielny giermek Saintré rozbroił w harcach polskiego rycerza Jarosława, a król jegomość kazał im zaprzestać dalszej walki, i stanąć obudwom przed sobą.“

Chociaż serce księżny jak najżywszą radością przejęło się na tę wieść pożądaną, udała przecież, jakoby to wszystko bardzo mało ją obchodziło. Rzekła więc znowuż królowa:

„Dlaczegoż nadobna Berto, nie podzielasz radości, jaką czujemy wszyscy, widząc zwycięstwo naszego walecznego Saintrego?“

A mówiąc to, wzięła ją za jednę, reszta zaś dam za drugą rękę, i wyprowadziły ją wszystkie na balkon. Tam piękna księżna zaczęła niby to przychodzić znów do siebie, a kryjąc się jak mogła z swoją niewymowną radością, zawołała:

„I tegożto olbrzyma wyzuł Saintré ze zbroi!?“

Na to zaczęła opowiadać królowa jak się odbyła walka, jak Polak najsamprzód skruszył kopię o hełm Saintrego, jak go potem Saintré ugodził w czerwonego ciołka na hełmie, i jak go wreście rozbroił z naramiennika. Berta nie śmiała zwilżonem od radości okiem spojrzeć od razu ku Saintremu, i dopiero widząc go spoglądającego na wszystkie strony, najpierwej niby od niechcenia to w tę, to w ową stronę, póżniej wyłącznie w nią, skinęła nań wiadomem mrugnieniem oka. Saintré spostrzegł z uszczęśliwieniem ten słodki znak, i odpowiedział natychmiast jak mógł najwdzięczniej. Gdy zaś wraz z Jarosławem stanął przed królem, kazał im król jegomość przez usta wielkiego mistrza heroldów królestwa Francuskiego powiedzieć co następuje:

„Mości Jarosławie i ty Janie de Saintré! Król jegomość każe wam oświadczyć obudwom, że w harcach dzisiejszych walczyliście tak chlubnie i bohatersko, jak tem mało który z żyjących dziś rycerzy pochwali się przed światem. Tobie Janie de Saintré, który w otwartym boju wyzułeś rycerza polskiego z zbroi ramiennej, przyznaje król jegomość dank w jego najjaśniejsze ręce złożony, a to według poprzedniej umowy waszej, w liście wyzywającym zawartej. Tobie zaś cny rycerzu Jarosławie nakazuje król jegomość oddać własnoręcznie dank ten Saintremu. Oto go masz.“

I kończąc te słowa podał panu Jarosławowi brylant, który dotąd znajdował się u króla. Tymczasem herold polski Lublin przełożył całą powyższą przemowę od słowa do

słowa na język polski. Po której wysłuchaniu ugiął pan Jarosław kolano przed obliczem królewskiem, i podziękował jaknajuniżeniej za łaskę. Dodał też z szlachetną otwartością, że Saintré godnie i sprawiedliwie zasłużył sobie na dank, postępując jak przystało na sławnego rycerza. I domawiając tych słów, zbliżył się do Saintrego z brylantem w ręku, pozdrowił go krótką przemową w języku polskim, i wręczył mu klejnot zwycięstwa. Na to zagrzmiały trąby i kotły, a radość wszystkich była tak wielką, że niepodobna ani opowiedzieć ją, ani opisać. Król jegomość rozkazał im rozebrać się z rynsztunku turniejowego, co oni natychmiast wypełnili. Wyjeżdżając z szranków, nie przywłaszczał sobie jeden przed drugim najmniejszego pierwszeństwa, i tylko ta jedyna różnica zachodziła między zwycięzcą a zwyciężonym, że tamten jechał po prawej, ten zaś po lewej stronie. Rycerza Jarosława z całą drużyną polską zaproszono na ucztę do stołu królewskiego; Saintremu zaś pozwoliła królowa zasiąść przy stole dam. Jak się obaj zapaśnicy przygotowywali i stroili do tego zaszczytu, nie mam czasu opowiadać szeroko, lecz wolę pomówić znowuż o pięknej księżnie Bercie i jej miłości.

W godzinie do uczty przeznaczonej kazał król przywołać pana Jarosława wraz z cterema towarzyszącymi mu rycerzami, a nawet z wszystkimi giermkami jego orszaku. Wprowadził ich do sali królewskiej nasz mężny Saintré, mając w towarzystwie kilku innych panów i rycerzy francuskich. Król przyjął cudzoziemców z wielką uprzejmością i z niezwykłemi honory. Gdy już nakryto do wszystkich stołów, i wniesiono potrawy, rozkazał król usiąść panu Jarosławowi po prawej ręce, czterem zaś towarzyszom po lewej, i uraczył ich najlepszemi winami i najsmakowitszemi potrawy. O czem jednakże nie będę rozwodził się szczegółowo, boć każden łatwo to zrozumie, że musiał tam być traktament nie ladajaki. Saintré nie uczestniczył w nim, bo jak już powiedziano, zawezwała go królowa do stołu dam. Siedział więc sam jeden w gronie najpiękniejszych panien i pań, a niepotrzebuję mówić, że nie było ani jednej pomiędzy niemi, któraby po dzisiejszym turnieju nie spoglądała na niego mile i słodko. Berta nie mogła odwrócić oczu od prześlicznego brylantu, który mu na złotym łańcuszku wisiał u szyi. Sama nawet królowa zwróciła nań swoją uwagę, i zaczęła przypatrywać mu się ciekawie.

„Prawdziwie, mości Saintré!“ — ozwała się Berta nieśmiało. — „Co za szczęśliwą musi być dama, dla której zdobyłeś klejnot tak drogocenny!“

Na co królowa: „Wierzaj mi Saintré, nie przestajemy się modlić do Pana Boga, aby ci i resztę nagród zdobyć dozwolił.“

Saintré padł na kolana i zawołał:

„O dzięki ci! dzięki! najmiłościwsza pani i wam cne damy! Dzisiejsze zwycięstwo moje odniosłem tylko za szczególniejszą łaską Boga i wszystkich świętych, a byłbym jej nigdy nie dostąpił niegodny, gdyby mi jej nie zjednały były wasze modły i prośby.“

Gdy Saintré zamknął tę dziękczynną przemowę, wszedł marszałek dworu z jakiemś doniesieniem od króla. Królowa wstała od stołu, a wysłuchawszy marszałka, nie usiadła już na dawnem miejscu, lecz po prawej stronie Saintrego. I jakże potrafię opowiedzieć ile zaszczytów i przyjemności i słodkich słów od królowej i wszystkich panien i pań przyniosło Saintremu zwycięstwo nad Jarosławem! ile trudnej do opisania radości błyszczało we wszystkich oczach, a zwłaszcza w oczach szczęśliwej Berty! Po skończonej uczcie udali się król i rycerze jednem gronem, a królowa z damami drugiem, do wielkiej sali obocznej, gdzie zaraz rozpoczęły się tańce, mianowicie takzwane maurytańskie, i rozmaite inne. Ponieważ jednakże pan Jarosław miał w tym dniu jakieś pilne sprawy do załatwienia, kazał król spieszniej niż zwykle przynieść zwyczajne przy pożegnaniu przysmaczki, i oddalił się zaraz do swoich komnat. Każdy rycerz wziął potem damę swoją pod rękę, i wyprowadził ją z sali. Saintré zaś odprowadził pana Jarosława do jego mieszkania w mieście, przyczem towarzyszyło mu jeszcze kilku innych panów i rycerzy francuskich. Lecz czasby już przestać o tych wesołych i okazałych bankietach, które się powtarzały z dnia na dzień, a opowiedzieć raczej, jak niewysłowionej radości oddawali się kochankowie w blizkiej potem rozmowie, w altanie ogrodu królewskiego.

Tej jeszcze nocy obaczyli się oboje sam na sam w parku królewskim, zawezwawszy się tam owemi niememi i tajemniczemi hasłami, którmi zwykle porozumiewali się w tłumie ludzi. Potrzebaż wam wyliczać wszystkie owe gorące pocałunki, któremi pieszczono się wzajemnie? Potrzebaż opisywać owe rozkosze i słodycze, jakiemi poili się szczęśliwi, poili całem sercem i całą duszą?

„O chwilo pożądana! o radości niewysłowiona!" — mówiła księżna. — „Spełniło się tedy najgorętsze życzenie moje. Wątpię, o wątpię, abym kiedykolwiek w mojem życiu szczęśliwszej doznała chwili. Bo też kiedy wjeżdżałeś w szranki, ogarnął mię tak wielki strach, tak gwałtowna boleść ścisnęła moje serce, że prawie bez ducha padłam na ziemię, i gdyby nie spieszna pomoc królowej, możebym już nigdy więcej nie ujrzała cię tutaj. Skoro zaś dowiedziałam się o twojem zwycięstwie, o twojej nowej chwale, natychmiast ukoiła się moja boleść, ustąpił mój smutek, królowa i damy wyprowadziły mię na balkon, gdzie mogłam widzieć z jak szlachetną dumą odbierałeś dank z ręki przeciwnika."

„Przebóg! Cóż mówisz najdroższa księżno!"— zawołał Saintré. — „Jakież szczęście, że nie wiedziałem o tem! Myślałem jedynie o wywalczeniu chwały orężowi mojemu, o przyniesieniu ci nowych wawrzynów w darze. Gdybym się był dowiedział, żeś zemdlała, żeś chora, byłbym zapewne stracił przytomność w boju, i uległ niezawodnie nieprzyjaznemu losowi. Tymczasem Bóg to na szczęście odmienił. Wjechawszy w szranki, obaczyłem cię w gronie niewiast królowej, lecz zaledwie przywdziałem hełm i przyłbicę, już cię nie było na balkonie. Mniemałem tedy, że nie masz odwagi przypatrywać się tak niebezpiecznym dla mnie zapasom, i nie śmiałem nawet pomyśleć, aby cię najmniejsza dolegliwość spotkała. Zaczem dziękujmy Bogu jedyna władczyni serca mojego, dziękujmy mu za jego łaskę niewyczerpaną, i bądźmy dobrej myśli, gdyż po każdym świetnym czynie następuje zazwyczaj drugi i trzeci jeszcze świetniejszy. Nie lękaj się więc jutrzejszej walki pieszej. Bóg nie opuścił mnie w początku, nie opuści więc i pod koniec."

Po tych słowach pożegnali się oboje jak najczulej. Ja zaś przestanę mówić o ich miłostkach i serdecznych rozmowach, a spróbuję opisać walkę pieszą, która rozpoczęła się w dniu oznaczonym. (D. n.)

## O NAJNOWSZEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

Nie ma nic łatwiejszego jak niezwyczajnie wielką miarę przyłożyć do rzeczy ludzkich, i znaleźć po surowym rachunku, iż one nie dorosły żądaniom naszym. Gdybyśmy i z naszą literaturą poetyczną tak bezwzględnie liczyć się chcieli, mogłoby się łatwo okazać, iż ona daleko przed wymierzonym tu celem utknęła. Tymczasem umiejąc żądać czego potrzeba, należy umieć także przyjmować, co rzeczywistość podaje. Owszem tylko taka wyrozumiała umiejętność przyjmowania i oceniania darów rzeczywistego życia może przeświadczyć o słuszności i praktyczności wymagań. Z tak przyjaźnem zaś sercem wychodząc naprzeciw ostatnich plonów poezyi naszej, poznajemy pomiędzy niemi kilka niezwyczajnej piękności płodów. Pierwsze miejsce trzymają niezaprzeczenie Pola i Lenartowicza poezye. *Mohort* i pieśni autora *Błogosławionej* i *Zachwycenia*, oto utwory, które mogłyby przyozdobić każdą epokę literatury. W dzisiejszej przypominają one najpiękniejsze czasy naszej poezyi. Co więcej, jak każda prawdziwie znamienita praca przynosi coś nowego literaturze, tak i *Mohort* z *Pieśniami* wzbogacają poezye pewnemi wdziękami i zaletami, których ona nigdy w tak wysokim nie okazała stopniu. Gdzież bowiem tak posagowa plastyczność jak w *Mohorcie*, tak urocza gra fantazyi jak w widzeniach Lenartowicza. Porównywając *Mohorta* z dawniejszemi utworami poetów naszych, zdaje się nam, żeśmy dotąd patrzyli tylko na piękne malowidła, a dopiero z *Mohortem* stanęła nam po raz pierwszy przed zdumionemi oczyma — rzeźba, piękność dłuta. Porównywając uroczą fantastyczność Lenartowicza z przedmiotowością *Mohorta*, dziwimy się, jakim sposobem tak sprzeczne charaktery poezyi mogą zachwycić nas zarówno. Byłoby przecież niesprawiedliwie, gdyby im krytyka w istocie zupełnie równą przyznała wartość. „Po owocach poznacie ich" — mówi pismo, i po owocach też należy oceniać każdą nowość i piękność w literaturze. Pod tym zaś względem mistrzowska plastyka *Mohorta* pozostanie wzorem zawsze i dla wszystkich zbawiennym, podczas gdy fantastyczność Lenartowicza nietylko pod piórem niezręcznych naśladowców, lecz nawet mistrza samegoż, nietrudno z czasem w manierę nadużytą być może. Po Lenartowiczu i Polu pragnęlibyśmy wymienić najpierwej poezye Alexandra Grozy, które niedawno w kompletnym wyszły zbiorze, a zawierają tak piękne niekiedy opowiadania. Są to jednakże po największej części płody dawniejszych czasów i dawniejszego natchnienia, i tylko rokiem nowej edycyi należą do bieżącej epoki. Nowszym zewszechmiar pojawem jest poemat *Stepy*, napisany przez au-

tora *Kirgiza*, a celujący prawdziwym talentem opisowym. Przebija on także tuowdzie w *Poetycznych powieściach* p. Seweryny z Żochowskich Pruszakowej, która ostatniemi czasy dość często przypomina się publiczności. Uchodzi to dzisiaj za wielką cnotę i święty obowiązek autora, a że każde wymaganie wielkiego pana, jakim jest cała publiczność, znachodzi sobie pełnicieli i bohaterów, więc nie brak też pisarzów, którzy mu dzień i noc służą. Pomiędzy tymi któż zasłużeńszy nad zacnego autora *Deboroga*, Władysława Syrokomle Kondratowicza? Przybyły literaturze z jego pióra w ostatnich kilkunastu miesiacach następujace utwory: *Margier*, poemat z dziejów Litwy. *Chatka w lesie*, dziwactwo drammatyczne w pięciu ustępach. *Kęs chleba*, gawęda z pól nadniemeńskich. *Córa Piastów*, powieść wierszem z dziejów litewskich. *Zgon Acerna*, chwila z XVII wieku. *Gawęd*, rymów ulotnych i przekładów poczet trzeci. *Wielki czwartek*, obraz wioskowy. *Hrabia na Wątorach*, krotofila wierszem z XVI wieku. *Gawęd*, rymów ulotnych i przekładów poczet czwarty. *Chatka w lesie*, dziwactwo drammatyczne, część druga. *Baka odrodzony*, z przedmową i dodatkiem. *Stare wrota*, poemat i t. d. Każda z tych książek i książeczek napisana płynnie, zrecznie, serdecznie; poezya gładkiego wiersza, poetycznego frazesu, przyjemnej gadatliwości, budującego morału, niekiedy głębszego westchnienia zacnej i światłej duszy — jednem słowem poezya tego wszystkiego, co uprzyjemnia życie powszednie i wybornie do codziennego służy użytku, podniesiona tu do najwyższego mistrzowstwa. O więcej, o poezyę prawdziwą, dłużej nad moment zabawy trwającą, do dna umysł i serce poruszającą, nie pytaj figlarnego poetę, który ku tak powszechnemu zadowoleniu umie śpiewać: „Lazł kotek na płotek i mruga, Piękna to piosenka niedługa.“ Dłuższą na wszelki wypadek piosnkę miała na celu Deotyma w swojej próbie drammatycznej *Tomira*, misteryum w trzech obrazach. Nie stało sie wprawdzie zadość celowi. *Tomira* okazała wiecej dobrych chęci niż siły twórczej, nie godzi sie wszakże odmawiać uznania samemuż dażeniu do poezyi w wyższem słowa tego pojeciu, do głębszej pracy ducha. Takim też charakterem poważnym odznacza sie kilka innych płodów naszej literatury drammatycznej, która obok szczęśliwych dziś powieści i gawęd, znajduje tak mało zachęty zewnątrz, a nie przestaje przecież walczyć o życie. Wyszły w r. 1855 i 1856: Antoniego Małeckiego *Grochowy wieniec* czyli Mazury w Krakowskiem, komedya w czterech aktach; Apolla Korzeniowskiego *Komedya*, drammat w trzech aktach; Mikołaja Bołoz Antoniewicza *Anna Oświecimówna*, poemat drammatyczny w pięciu oddziałach; Wacława Szymanowskiego *Ostatnie chwile Kopernika*, obraz drammatyczny, i *Salomon*, drammat z XVI wieku, w trzech aktach — utwory zewszechmiar godne zalety. Jeszcze wyraźniej objawia się taż zacna dążność do pracy około swojej przyszłości, do kształcenia się na cudzych wzorach, do przyswajania sobie formy stosownej — w kilku przekładach drammatycznych, do których w dzisiejszym stanie rzeczy tylko najbezinteresowniejsze zamiłowanie natchnąć mogło tłumaczów. Są takiemi przekłady: Oehlenschlaegera *Corregio*, drammat w pięciu aktach przez Bolesława Wiktora; tegoż *Hagbart* i *Sygna*, poemat w pięciu aktach, przez Juliana Bartoszewicza; Szekspira *Juliusz Cezar*, trajedja w pięciu aktach, przez J. Paszkowskiego. Mówiąc o tłumaczeniach, nie zapomnieć nam znanego w tej gałęzi autora, p. Lucyana Siemieńskiego, który pod tytułem *Biszen* i *Menisze* dał wyborny przekład ustępu z Firdusego poematu Szach Namech, a świeżem ogłoszeniem nowego ustępu z *Odyssei* przypomniał dawno oczekiwany przekład Homera. Pragniemy jaknajwięcej podobnych prac, i spodziewalibyśmy się niemałej po nich korzyści. Dzisiejszą naszą *gawędą* i powieścią obyczajową zamknęliśmy się w tak wązkich ramach życia, kręcimy się w tak ciasnem kółku jednostajnych charakterów i sytuacyj, że niezmiernie pożądaną jest każda ścieżka, któraby bez oziębienia nam serca do stron rodzinnych, wyprowadziła nas w świat nieco odmienny, rozmaitszy — na scenę nowych wypadków i charakterów. Owo „domactwo i legartowstwo“, które Orzechowski i inne pisarze XVI wieku wyrzucali szlachcie ówczesnej, „nie ciekawej morza, góry Synaju i Atlantów“, jest przedwszystkiem szkodliwe literaturze. Jak bowiem dla umysłu i wszelkiej rzeczywistej oświaty w ogólności, tak szczególniej dla literatury jakiegokolwiek narodu, nie masz nic zgubniejszego nad pewna konwencyonalna jednostronność, nad wieczną tożsamość pewnego ulubionego świata i horyzontu, a sentymentalne, wygodne, leniwe niewychylanie się poza widokrąg ukochanej zagrody, grozi skarłowaceniem pod niską strzechą. Nie umielibyśmy też wytłumaczyć sobie czem innem sukcesów pism Tripplina, jak tylko urokiem większej nowo-

ści i rozmaitości miejsc, typów i wypadków, zwyczajnie z świata obcego wziętych, jakiemi one bawią publiczność. Podobnaż w pewnym względzie pobudka przyczyniła się do serdecznego przyjęcia małej książeczki, *Gwidona* i *Dumek* Henryka Jabłońskiego, wydanych we Lwowie u Kallenbacha. Lubo do niedawna uchodziło za pewnik, że poezya nasza jest nadwszystko liryczną, spotykamy przecież bardzo mało właściwej liryki w ostatnich czasach. *Gawęda*, *powieść* poetyczna, przedmiotowanie zewnętrznych stosunków i wspomnień życia, zaprzątnęło wyłącznie naszych młodszych poetów. Powtarzano im bezustannie, że poeta powinien zapomnieć o sobie samym; wzbroniono im spiewać dzieje własnego serca, nakazano im czuć tylko za ogół i dla ogółu, opowiadać jak czuli inni, starsi, szczęśliwsi. Starodawne hasło liryków „Sobie nie komu spiewam, swe nie cudze rzeczy“ — owe hasło, do którego dzisiaj Lenartowicz z tak szczęśliwym powraca skutkiem, poszło w poniewierkę i wzgardę. Ocaliła nas tem krytyka, nie ma co mówić, od tysiąca lichych wierszów miłosnych, lecz oraz zamknęła usta szczerej liryce, serdecznemu wylaniu siebie samego. A bądź co bądź, najkosztowniejszą rzeczą jaką młoda, szlachetna, poetyczna dusza dać może, jest siebie samą: wszelka reprezentacya będzie tylko rolą, udaniem, acz niekiedy wymownem i nieświadomem. Skoro jenialny liryk zaspiewa z pełnej piersi o sobie samym, wszystek ogół przyzna się chętnie do jego wywnętrzeń osobistych: jeśli zaś partacz ma spiewać za nas wszystkich, to woli już spiewać za siebie. Tymczasem niebezpiecznie było zrywać z krytyką, lada słowik ulatywał z orłami, i oniemiała szczera liryka, a wzięła górę deklamacya uczuć przysposobionych. Owoż gdy po nieodzownem nakoniec zatęsknieniu publiczności do nuty serdeczniejszej, okazała się książeczka Jabłońskiego, w której z dziecinną prawie naiwnością pomieszane są sprawy cudze z własnemi, ucieszono się powszechnie szczerym dźwiękiem młodego serca. Temuż (zda się) przypisać, że lubo *widzenia* Lenartowicza o wiele wyżej stoją od jego pieśni lirycznych, nierównie przecież goręcej rozmiłowano się w jego liryce, datując od niej nową „epokę prostoty i prawdy“, i widząc w Lenartowiczu „pierwszego znowuż poetę, co samoistnie zaspiewał z duszy.“ Takim więc sposobem wynagrodził się Jabłońskiemu zwrot do rzewnej pieśni własnego serca, i wynagrodziło się sowicie Tripplinowi, iż w swoich wspomnieniach i powieściach podróżnych odsłonił nam świat nieco nowszy. Bo jak Tripplinowe sceny i charaktery zamorskie, tak niestety i owa serdeczna nuta osobistego uczucia, omało że się nam obcą i nieznaną nie stała rzeczą. I nie zechce nikt zapewne upatrzeć w tem sprzeczności, iż w jednym razie żądamy nowych i niezwyczajnych przedmiotów, w drugim zaś pragnęliśmy powrotu do swoich własnych i starych. Poezya dojrzała, poezya spowiadająca, niech nam maluje świat i ludzi w kształtach najrozmaitszych; poezya liryczna, poezya młodego serca, zamykająca cały świat w własnej piersi, niech nam przedwszystkiem swoją własną otworzy pierś. (C. d. n.)

---

Elegancya damska w średnich wiekach. Podobne dzisiejszemu strojowi ubranie głowy; złoty wieniec lub uplot z spływających dokoła wstążek na skroni; w tył zarzucona zasłona, bogaty łańcuch albo perły na szyi; długa atłasowa, złotem i perłami świecąca suknia, często z ogonem, zwykle z kosztownym pasem srebrzystym; złociste trzewiki, podobneż rękawiczki, złotem haftowana chusteczka w ręku a pierścienie na palcach — oto najogólniejsze rysy nadzwyczajnie rozmaitej i zmiennej toalety wytworniś średniowiecznych. W czem moda na niekorzyść różniła się od dzisiejszej, to przypisać szkodliwemu wpływowi czasu. Szpecił on ją zbytnią ciężkością, przesadą, pretensyonalnością. Oprócz grubego atłasu lub złotogłowu; oprócz pereł i klejnotów na sukni, wartujących niekiedy kilka, kilkanaście tysięcy czerwonych złotych, ciężył dostojnej damie cały rynsztunek drogokruszczowych czółek, naszyjników, kulców, maneł i rzeźbionego pasu czyli „obręcza“, ważył gruby haft złoty na koszuli, pończosze, obuwiu, rękawiczce i chustce. Mimo czego musiała dama stąpać na pół w powietrzu, w niezmiernie ciasnym trzewiku, tylko palcami i piętą dotykającym ziemi. Jak bowiem od ręki wymagano koniecznie długich palców, tak noga piękna powinna była tak kabłąkowato skurczoną być, „aby się czyżyk pod wypukłą stopą mógł schować“. A biada licom, które nie płonęły szkarłatem. Wiek zamiłowania w czerwieni szat, nie miał współczucia dla bladych jagód, Tylko ludzie z gminu, ubodzy, miewają na ówczesnych obrazach wzrost karłów i blade, zielonawe, brunatne twarze; pełne zaś policzki możnych kwitną cerą rumianą. Bogate panie, którym natura odmówiła rumieńców, nie zważały na wszelką srogość przepisów duchównych przeciwko zbytkom strojnictwa, lecz tysiącznemi rodzajami maści, proszków, pięknszydeł, dręczyły swoje oblicza. Czciciele wieków średnich, wyobrażający sobie matrony tamtoczesne bez przerwy przy kądzieli patryarchalnej, z różańcem w ręku, niemało zdziwiliby się zapewne, gdyby nagle stanęły przed nimi całe góry spotrzebowanych wówczas słojów ružu, blanszów, perfum, pomady. Nieraz u jednej elegantki stało na toalecie po 300 słoików, puszek, pudełek, starannie owiązanych. Znajdowały się w nich różne maście, różne proszki do zębów, farby do włosów, preparaty do bielenia się i kraszenia, przyrządzane z białek, sza-

franu, bobu, mleka od klaczy, spirytusu, żywego srebra i t. p. Tu miejsce przypomnieć np. ową rozmarynową *lavendogrę*, którą siostra Kazimierza W. krzepiła tak długo swoją starość. Nieumiarkowane używanie zbyt silnych kosmetyków wykruszało zęby pięknościom. A musiano zapewne bardzo rzadko miarkować się, jeśli te wszystkie sekrety gotowalni mogły przejść do wiadomości natrętów, którzy je naszym podali wiekom, a którzy bez wątpienia dostrzegli zaledwie małej cząstki tajemnic toaletowych. Tyle ich przecież widziano, iż całe poematy bywały spisywane w tym jedynie przedmiocie. Jeden z najciekawszych, wiersz, trubadura Ginguené, maluje w tak jaskrawych kolorach ówczesną namiętność „różowania się“, że wszelkie dzisiejsze nadużycia tego rodzaju nie mogą w żadnem stanąć z nią porównaniu....

Dawna charakterystyka niektórych okolic naszej prowincyi. Przyganiając zwyczajnej zawodności zdań i przypowieści o całych narodach i okolicach, prawi X. Ignacy Włodek w swojej szacownej książce *O naukach wyzwolonych* (w Rzymie r. 1780) co następuje: „Co się tyczy sąsiadów, ci albo z żądzy przewyższenia, albo z żartu, albo z zazdrości, albo ze złości, albo z trefunku szczególnego, różne powieści o sąsiadach powymyślali. I żeby niedaleko chodzić, niech kto z ciekawości przejeżdżając Polskę, zapyta się co jedno województwo o drugiem, co jeden powiat o drugim mówi; a nie znajdzie żadnego, któryby się w czem niższym od drugiego nie sądził, ani żadnego, któryby w czemkolwiek sąsiadom nie przyganiał. Posłuchajmy ich mówię, abyśmy z naszego kraju miarkowali, jak są fałszywe pospólstwa o innych zdania. Mówi pospólstwo polskie: *Bełżanie* do prawa, nie do korda. *Bieczanie* dobrzy do rady, ale tchórze. *Buszczanie* szczodrzy w słowach, ale nie w rzeczy. *Czerwonogrodzanie* czyści, a nie uczynni. *Haliczanie* rzetelni, ale pyszni. *Krakowianie* do bitwy, nie do rady. *Kołomyjszczanie* zgodni, samochwalcy. *Lwowianie* mili, ale lubieżni. *Lubaczewianie* przyjemni, ale zdradliwi. *Oświecimianie* ni do kufla, ni do korda. *Pilznianie* szczodrzy, bez rozsądku. *Rawianie* do kufla i do korda. *Sandeczanie* bitni, ale nieprzykładni. *Sanoczanie* do korda, nie do prawa. *Zatorzanie* o sławę zbyt, o pieniądze mało dbają. *Żydaczewianie* dłużni a weseli. — Pytam ja teraz, co tu jest w tem opisaniu prawdziwego?“

Kąpiele w błotach krymskich. Niezrównany ma być skutek kąpiel w solnych błotach krymskich na podagrę i wszystkie choroby reumatyczne. Błota te są to gęste i dość rozległe bagna u wybrzeży jezior solnych, wcale jednak różne od takichże samych bagien w Bessarabii. Kolor ich jest szaro dziki, zapach nieprzyjemny, cuchnący dymem prochowym, powierzchnia zaś okryta tu i owdzie jakąś lśnącą powłoką, jakgdyby zzendrą lub rudą żelazną. Szczególniejszy jest sposób używania kąpiel, których główna pora są najgoretsze miesiące, to jest lipiec i sierpień. O godzinie ósmej z rana, gdy słońce zaczyna już skwarniej przypiekać, wykopuje się w bagnie tak obszerny dołek, aby jeden człowiek mógł w nim wygodnie leżeć. O godzinie dwunastej, gdy słońce jaknajmocniej ogrzeje przygotowane do kąpieli miejsce, przybywa chory, rozbiera się do naga, i kładzie się w rów, obwiązując głowę chustką, aby ustrzedz włosy od kału. Posługacze kąpielowi zarzucają go zaraz błotem, czyli raczej zakopują tak w bagnie, że tylko oczy, nos i usta pozostają na wierzchu. W takim stanie musi leżeć chory, póki mu tylko siły pozwolą, jednakże dłużej nad dwie godzin nikt nie wytrzyma, bo zaledwie okryją pacyenta błotem, zaczyna potnieć i słabieje do nieprzytomności. Wtedy posługacze muszą go spiesznie wydobywać z bagna i kąpać w ropie solnej. Po tej solnej kąpieli kładzie się chory do łóżka i obwija starannie w prześcieradła i kołdry, aby nie zaziębić spoconego ciała. Gdy zaś ochłódnie, przywdziewa suknie i używa zupełnej wolności aż do przyszłej kąpieli, która stosownie do sił chorego następuje w trzecim, czwartym lub piątym dniu. Niektórzy chorzy bywają zaraz za pierwszą kąpielą tak osłabieni, że nie mogą się wcale podnieść z łóżka. Kto na podagry i choroby reumatyczne pobiera morskie kąpiele w Tyflidzie lub używa Piatyhorskich kąpiel mineralnych, przybywa zazwyczaj kończyć kuracyę do błot krymskich, a ztąd dopiero wyjeżdża zupełnie uleczony.

Grzechy za grzechy niemiane. Z starodawnych zapisków: „I to grzech, który za grzech nie mają, wywrócić historyjkę i rozsiać, a wieczną *in populo* o królu dać impressyą złą. Powiedział mi godny Kącki, co kasztelanem krakowskim umarł: że w pokoju będąc u króla Jana Kazimirza paziem, był takimże Weyer, wielkiej w Prusiech familii. Chłopiec cudownie złościwy i swywolny, który w gabinecie królewskim i papiery przewracał i galanterye psował. Kilka razy mu chłostę dano, ale darmo bez poprawy. Raz król rozgniewany z impacyencej rzekł: Wolałbym psa widzieć w pokoju niż tego chłopca. Weyer wybiegłszy rozsiał że król mówił: „że wolałby psa widzieć w pokoju, niż szlachcica polskiego.“ Co tak głęboko za prawdę wzięto, że w rewolucyach szwedzkich i Lubomirskiego, królowi to wymawiano, choć szlachcica i nie wspomniał, tylko złościwego Weyera.“

Stare przysłowia. „Pamiętam na sejmiku Wiszeńskim jenerału czyli powszechnego zjazdu Ruskiego“ — czytamy w pewnym dawnym pamiętniku — „jeden mądry szlachcic i urzędnik ziemski, czopowe przemyskie pięć czy sześć lat trzymający, tandem szlachtę na się obruszył, że go okrzyknęli, ażeby ustąpił trzymania tego komu inszemu. Po uspokojonym hałasie bierze głos ów zhukany urzędnik, i mówi: Widzę mości panowie, żeście się waszmość zawzięli na mnie i na mój honor, ale ja, choćbym zginąć miał, honorem meum nemini dabo. — I ztąd poszło przysłowie *Honorem meum nemini dabo.*“

„Próżne rzeczy i niepożyteczne. Gadać z głupim człowiekiem, mrugać na ślepego — Pić z próżnego naczynia, w piecu suszyć lody — Grunt nie płodny uprawiać, w lesie łowić ryby — W morze nasiona rzucać, liczyć wodne krople — Wodą gasić słoneczny promień, kozła doić — Łysego golić, cegłę myć, bielić murzyna — Wielbląda przez igielne przewlec ucho, w skrzyni — Wiatr chować, babę starą naganiać do tańca — Uczyć niepojętnego prostaka mądrości.“ (Stara przypowieść.)

„Kto chce się mieć dobrze na dzień, niech sobie gęś zarznie; kto na tydzień niech wieprza zakole; kto na miesiąc, niech wołu zabije: kto na cały rok, niech żonę pojmie, a kto do śmierci niech księdzem zostanie.“ (Stara przypowieść.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*